
RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom-Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

W przyszłości podobny monograficzny numer naszego pisma chcemy przeznaczyć na opisanie losów polskich dzieci na zesłaniu. Wiemy też z napływającej do redakcji korespondencji, że z artykułów publikowanych na łamach „Zesłańca” korzystają uczniowie oraz nauczyciele historii, uważając publikowane w nim teksty za ważny materiał uzupełniający podręczniki szkolne.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje w pewnym sensie do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz do serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane są także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth, przewodniczącej tamtejszej Komisji Historycznej. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacimy polską historiografię o cenne źródła dotyczące zesłań Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony byłego Związku Radzieckiego. (red.)

*

Adam Cz. Dobroński, *Relacje sybiraczek – żołnierzy Pomocniczej Służby Kobiet*¹

Podczas kwerendy archiwalnej w londyńskim Instytucie Polskim i Muzeum Władysława Sikorskiego natrafiłem na teczkę 49 w kolekcji 191. Znajdują się w niej relacje zebrane w 1946 roku przez dowództwo PSK. Interesujące teksty przekazały: kapral Irena Bereśniewicz z plutonu Bari, starsza ochotniczka Teresa Bryl, ochotniczka Irena Jankowska z plutonu zapasowego (zeszyt szkolny), starsza ochotniczka Aleksandra Pindelska z plutonu przy baonie do-

¹ Pomocnicza Służba Kobiet podjęła służbę w Polskich Siłach Zbrojnych („armia” gen. W. Andersa) w listopadzie 1942 r. W lipcu 1944 r. podzielono ją na Pomocniczą Wojskową Służbę Kobiet (PWSK), Pomocniczą Lotniczą Służbę Kobiet (PLSK) i Pomocniczą Morską Służbę Kobiet (PMSK). Stan liczbowy PSK wzrósł do około 7 tysięcy ochotniczek, w tym około 4 tys. w czynnej służbie wojskowej.

wodzenia Centrum Wyszkożenia (z tego samego plutonu relacje złożyły st. sierżant Maria Koźnińska i sierżant Gabriela Kaczmarczyk a z powodu choroby w późniejszym czasie wspomnienia miała nadesłać plutonowa Urszula Stefanowska-Kozłowska), ochotniczka Maria Pędzińska z 316 kompanii transportowej (też zeszyt szkolny). Ponadto mniej obszernie zapisy zebrano w 17 kompanii zapasowej od: ochotniczki Janiny Czerwińskiej, starszej ochotniczki Wiktorii Jądzińskiej oraz ochotniczki Julii Rabiasz. Z tej samej kompanii relację przekazała Lucyna Seroczyńska, ale z odniesieniem się do wydarzeń 1944 roku, w tym zwłaszcza działalności Armii Krajowej. Podobnie prezentują się teksty Marii Koźmińskiej, Gabrieli Kaczmarczyk i Janiny Świtniewskiej ze Lwowa. Natomiast Irena Wilczyńska już w 1940 roku znalazła się na terenach zajętych przez Niemców.

Nie ulega wątpliwości, że relacji przekazanych przez żołnierzy (ochotniczki) z Pomocniczej Służby Kobiet było więcej, nie powstała jednak na ich podstawie zbiorcza praca. W większości są to opisy wywózek z ziem polskich w latach 1940-1941, tragicznych losów w oddalonych regionach ZSRR, walki o przeżycie a w finale o radości, jaka towarzyszyła włożeniu mundurów polskich.

Zapisy te mają znaczącą wartość historyczną i osobliwy klimat. Są cenne zwłaszcza dla odtworzenia warunków życia w *posiołkach* i kolchozach przedstawicieli młodszego pokolenia i ich relacji z rodzicami. Jest w nich świadectwo wielkiej wrażliwości na ból najbliższych, przyjaciół i sąsiadów, ale również dowód niezwyklej ciekawości świata. Podziwiać zaś należy, jak szybko dziewczynki wyrwane z domowych pieleszy przedzierzgnęły się w zaradne panienki, które musiały podjąć morderczą pracę zarobkową. Cierpiały nie tylko z powodu upokorzenia, chorób ich dopadających, zmęczenia, głodu, zimna i wielu innych plag syberyjskich (kazachstańskich), ale może jeszcze bardziej wskutek niemożności przyjscia z pomocą młodszym dzieciom i osobom w starszym wieku, rodakom i rodaczkom gasnącym daleko od stron rodzinnych, bezradnym wobec okrutnego systemu i dolegliwości natury. Często niespodziewanie musiały przejmować – mając zaledwie lat kilkanaście – przewodnictwo w zdekompletowanej rodzinie, walczyć o jedzenie, pocieszać upadających na duchu, podtrzymując nadzieję na przetrwanie. Tak zahartowane stały się wspaniałymi żołnierzami, a jeśli zostały potem na emigracji, to wyróżniały się aktywnością społeczną.

Potwierdzeniem tej opinii jest bez wątpienia relacja kpr. Ireny Bereśniewicz, literacka i bardzo autentyczna zarazem, wzruszająca. Ją przytaczam w całości z niezmiennym stylem autorskiej narracji. Wcześniej jednak chcę podać wybrane fragmenty z innych wspomnień, by mocniej zaakcentować wartość tych tekstów i potrzebę sporządzenia portretu zbiorowego młodocianych sybiraczek polskich okresu II wojny światowej. Kto podejmie ten trud?

*

Procesy, zdarzenia, osobowości

Teresa Bryl została wywieziona z matką 13 kwietnia 1940 roku (ojca NKWD wzięło już 5 X 1939 r.) ze Starej Wilejki. Obie pracowały w kolchozie w Kazachstanie, tym samym podlegały dobrze już opisanym w literaturze cierpieniom. Po tak zwanej amnestii 130 osób załadowało się do kilku wagonów. My-

śleli, że jadą do wojska, ale zawieziono ich do kołchozów w Uzbekistanie na zbieranie bawełny. Tam matka Teresy zmarła na tyfus a ona uciekła nocą i po trzech dobach dotarła do miejsca tworzenia się 9 Dywizji Piechoty, 27 marca 1942 roku wstąpiła do PWSK. „Chociaż nie miałam już nikogo z rodziny, czułam się bardzo szczęśliwą a koleżanki, które już były w wojsku oraz żołnierze byli i są nadal dla mnie wielką moją rodziną”. Tak młode sybiraczki rekompensowały sobie w części straty zadane ich otoczeniu przez wojnę i sowieckiego okupanta.

*

Również **Irenę Jankowską** zabrano z domu w Wołkowysku 13 kwietnia 1940 roku. W Kazachstanie zmarł jej brat. „Pomału przychodziliśmy do normalnego (niby) trybu życia, zdobywając niektóre rzeczy za wymianę fatalaszków. Ludność poznała nas, że jesteśmy tacy sami, jak oni i zmieniła swoje nastawienie, i stosunek do nas. Łatwiej można było coś kupić, dostać, oczywiście w drodze wymiany a nawet nieraz darmo coś człowiek zdobył.” Niestety, autorka relacji też zachorowała. „Choroba moja zrobiła wielki wyłom w naszych zapasach – masę rzeczy powędrowało na wymianę, mama posiwiła, zestarzała się. Wiedziałam, że okłamuje nas, sama nie je chowając dla nas. Przez chorobę straciłam pracę, na moje miejsce przyszedł jakiś pan Polak, który miał na utrzymaniu chorą żonę i 3 dzieci.” Po wyzdrowieniu, z konieczności Irena poszła do brygady prowadzącej wyręb drzew w lesie. Tam było bardzo ciężko, Polka myślała nawet o samobójstwie. I wówczas dowiedziała się o amnestii. „Radość nie do opisania, że jesteśmy wolnymi obywatelami. Całowaliśmy się wzajemnie, ja szalałam, lecz co teraz robić, jaki ratunek znaleźć da mamy i siostry, gdzie jechać? Pomału zaczęli wracać ojcowie i synowie, może Tatuś lub brat zawita do nas. Mijały dni w daremny oczekiwaniu, nikt nie wracał. Co robić?”

Pomógł dobry przypadek, I. Jankowska spotkała rodaka, który przyjechał po rodzinę. Z nimi pojechała do Jangi-Julu, tam odnalazła ojca. Ściągnęli rodzinę a ona akurat 3 maja 1942 roku założyła mundur. „W wojsku odczuwałam, że Bóg naprawdę jest litościwym, byłam spokojna o mamę, siostrę, chleb i jutro. Powodziło się nam dobrze, odżyliśmy po 2 prawie latach. W parę miesięcy później nastąpiła ewakuacja wojska i ludności cywilnej do Persji. W liczbie ich znalazłam się i ja, mama, siostra i tatuś. W polskim mundurze przekroczyłam granicę Persji – z dumą i radością oraz przeświadczeniem, że nie trzeba nigdy tracić nadziei.”

*

Maria Pędzińska spędziła dzieciństwo w pow. sokalskim. Stąd zabrano ją i rodzinę 10 lutego 1940 roku. Nie wystarczyła jedna lokomotywa, trzeba było sprowadzić drugą, by pociągnąć na wschód ponad sto wagonów z nieszczęśnikami. Podróż trwała miesiąc, dopiero na stacji Siniga. Maria spotkała się z siostrą i szwagrem, którzy jechali w innym wagonie. Deportowanych przez tydzień zabierano na samochody, te się psuły, stały godzinami na mrozie. „Bardzo dużo matek, które wiązały swe dzieci w becikach i poduszkach, po przyjeździe do miasta Wielsk znalazły swoje dzieci nieżywe, tj. zamrożone lub udużone. Rozpacz tych matek nie miała granic, gdyż bojcy przychodzili i zabierali a raczej wydzierali ciała tych dzieci, których już więcej żadna z matek nie widziała”. Ostatni etap, to trzydniowa jazda saniami do *posiołku* oddalonego o 150

km od Wielska. A potem tak charakterystyczne baraki, w których spano nie tylko na łóżku, ale również na stole i ławkach. Trzeba było chodzić 15 km na miejsce wycinki lasu a wiosną nastął spław kłoców. Wręcz odpoczynkiem stało się przecinanie drogi traktorowej.

„Niedziela, czyli inaczej *wychodnoj* – schodzili się bracia, mężowie i synowie z dalekich punktów. Szli całą noc, ażeby w niedzielę być z rodziną. Zwykle rano zaczynały się modlitwy, które kończyły się pieśnią *Boże coś Polskę* i za to matka moja została ukarana 7-dniowym aresztem, gdyż ona zawsze zaczynała modlitwy. Mimo to, gdy ludzie przestali chodzić do baraku naszego, to w innych trwały modlitwy. Dokąd się nie dowiedzieli i kogoś znów nie wsadzili do ciemnicy, gdyż areszt był bez okien i na wodzie, tak że trzeba było siedzieć w kucki na pniu, bo inaczej woda dochodziła do kolan. Taka walka trwała kilka tygodni, aż pewnego wieczoru przyjechało kilku milicjantów i aresztowało trzech mężczyzn: Nowickiego, Ozgę i Cieńskierewskiego (?) jako buntowników.”

Zaczęły się sianokosy, autorka wspomnień przeziębła się i odwieziono ją do szpitala. „Szpital był maleńki, miejsc nie było, gdyż bardzo dużo było (osób) z pomrożonymi rękami, nogami i twarzami. Więc mnie położono w korytarzu, gdzie był wielki przeciąg i robiono mi okłady gorące, nic więcej. Po trzech tygodniach zostałam wypisana ze szpitala i ledwie się trzymając na nogach musiałam iść piechotą 8 km do *posiołka*. Gdy przyszłam do baraku ostatkami sił matka z powrotem położyła mnie do łóżka i tu dopiero doszłam do zdrowia.” Niestety, wkrótce zmarli oboje rodzice. Lekarstw nie było, Polce proszącej o nie nie odpowiadało, że „*staryk wsio rawno pomriot*”. Maria po wielu przygodach dotarła do obozu wojskowego, potem była szkoła junaczek, Persja, a od maja 1942 roku już służba w PSK.

*

Ciekawy był przypadek 18-letniej **Janiny Czerwińskiej**. Wojna 1939 r. zastała ją w Krzemieńcu Podolskim u cioci i uniemożliwiła powrót do domu w Dąbrowie Górniczej. „W lutym 1940 r., w związku z ogłoszeniem udałam się do miejscowego komisariatu milicji, aby zameldować się, a jednocześnie zgłosić się na powrót do domu. W komisariacie namawiano mnie, abym zrezygnowała z chęci powrotu do domu, żebym lepiej wyjechała do Rosji, że będzie mi tam dobrze itd. Ja od swego zamiaru nie ustąpiłam, podano mi wówczas, że w połowie czerwca przyjedzie Niemiecka Komisja Repatriacyjna i zabierze wszystkich zgłaszających się na powrót do okupacji niemieckiej. Rzeczywiście, 10 czerwca 1940 r. wezwano mnie do komisariatu milicji celem odebrania dokumentów na wyjazd. Zgłosiłam się o godz. 18.00, kazano mi czekać. Czekałam do godz. 1.00 po północy, kiedy 6 milicjantów udało się ze mną do mieszkania mojej siostry, żeby przeprowadzić rewizję. Następnie już jako aresztowana wróciłam z tymi milicjantami do komisariatu. Kilkanaście dni przesłuchań obracających się koło tego samego pytania – dlaczego chciałam wracać i wyjazd do więzienia w Tarnopolu a następnie w Gorkach. W sali było nas kilka Polek. Trzymałyśmy się razem, tym bardziej, że „siedzące” razem z nami Rosjanki dokuczały nam bardzo i naśmiewały się z naszego zachowania, z modlitw...”. Zapadł wyrok 3 lata pobytu w obozie pracy, okazało się, że najczęściej przy ładowaniu drzewa do wagonów. „Jednego dnia w czasie pracy, gdy

rozpłakałam się nad swoją dolą, podszedł do mnie nadzorca i pocieszając mnie powiedział o „amnestii” dla Polaków. Nie bardzo mu wierzyłam sądząc, że to jedno kłamstwo więcej. Jednak po dwóch dniach w czasie *prowierki* zaczęli wyczytywać do zwolnienia.

*

Przeraża na pozór bardzo spokojny „życiorys z pobytu w Rosji” ochotniczki **Julii Rabiasz** z Waniowa w pow. Sokal. Została ona wywieziona 10 lutego 1940 roku z rodzicami i czterema braćmi. „Wyjechaliśmy z domu prawie bez niczego, ledwie ubrani, bo nie pozwolili nic zabrać ze sobą.” Na miejsce osiedlenia dotarli 8 marca. Zaraz potem umarł z powodu przeziębienia jeden z braci. Julia pracowała z ojcem przy wyrębie lasu, często o całodziennym głodzie, bo po zupę trzeba było stać w kolejce od pierwszej w nocy a i chleba nie starczało dla wszystkich. „Pamiętam jeden fakt, jak zabrali matkę od małych dzieci i zamknęli ją do aresztu za to, że nie poszła dwa dni do pracy, bo się źle czuła. Dzieci zostawione bez żadnej opieki płakały za matką i z głodu. Czasem tylko się ktoś (nimi) zaopiekował. Aż wreszcie zachorowały i po kilku dniach umarły. I wiele innych takich faktów było. W r. 1940, w grudniu, zmarł mój ojciec z wycieńczenia i przeziębienia. Mamusia nie mogła pracować, bo słaba była na zdrowiu. Ponieważ w domu byłam najstarsza, musiałam ciężko pracować, aby utrzymać rodzinę. Pomagał mi tylko młodszy brat. W tej ciężkiej pracy i głodzie bardzo dużo dzieci i dorosłych ginęło.

W r. 1941 w sierpniu nastąpiła u nas amnestia. Wielka też była radość, kiedy w zgrupowaniu wolno nam było zaśpiewać *Jeszcze Polska nie zginęła!* Bo przedtem nie wolno było ani mówić słowem, że Polska będzie jeszcze. Jeśli ktoś powiedział, od razu zabierali go od rodziny i w nocy wywozili do więzienia i łagrów. Po amnestii wolno było wyjeżdżać, gdzie kto chciał w ZSRR; za granicę nie wolno. Więc wyjechaliśmy z tego *posiołka* w r. 1941, przy końcu października. Bez kawałka chleba, obdarci i prawie bosi, a tu zima wielka, śniegi i mrozy, że trudno wytrzymać. Wracaliśmy tą samą drogą. Zdawało się nam, że już nie wrócimy, że przyjdzie się nam skostnieć w tych lasach. Szliśmy cały tydzień a noce spędzaliśmy w lesie przy ognisku. Z wielkim trudem doszliśmy do stacji, ale brata prawie konającego wnieśliśmy do wagonu i za kilka dni umarł. Po kilku dniach jazdy umarł mi trzeci brat w wagonie. Zostało nas tylko troje: mamusia, brat i ja. Jechaliśmy sześć tygodni i tak samo po kilka dni bez jedzenia. W każdym wagonie leżały po dwa i po trzy trupy, bo nie można je było nigdzie zostawić.

Dwudziestego czwartego grudnia przyjechaliśmy do Uzbekistanu. Podczas podróży zachorowała mi mamusia i zaraz po przyjeździe do kolchozu umarła. Zostałam z małym bratem. Tu było już całkiem źle. Dostawaliśmy dwadzieścia gram grysu stęchłego, przygotowanego dla wołów i to było całe nasze pożywienie. Tego grysu nie było można jeść w żaden sposób. Zbierałam trawę i gotowałam, i tak było przez dwa i pół miesiąca. Wreszcie już z łóżka nie mogłam wstać i brat był chory. Nie było się komu nami opiekować, bo nikogo nie było z polskich rodzin. Kilkanaście km od nas organizowała się polska szósta dywizja. Szczęście, że przyjechali do nas żołnierze z pomocą i przywieźli nam po małym kawałku chleba. Brata zabrali do szpitala, a później dowiedziałam się, że był w

junakach. Niestety, już się z nim więcej nie widziałam. W Persji dowiedziałam się, że umarł w szpitalu - ostatni mój brat. Polscy żołnierze opiekowali się mną aż do wyjazdu za granicę 28 marca 1942 r. W Persji leżałam dłuższy czas w szpitalu. Dnia 13 czerwca 1942 r. w Teheranie wstąpiłam do wojska.”

*

Ze Lwowa do Kazachstanu trafiła **Aleksandra Pindelska**, wywieziona 13 kwietnia 1940 roku wraz z 15-letnim synem. Podczas pierwszej odprawy ta nauczycielka gry na fortepianie wywołała złość pytaniem o rodzaj pracy zgodny z posiadaną specjalnością. Kiedy uzbrojona w kij pędziła byki brygadier ją pocieszał, że zwierzęta lubią muzykę. Po ewakuacji lwowianka została świetliczanką, syn szkolił się a potem walczył w 2 Korpusie Polskim. „Czekam wiadomości, nieraz bez tchu. Z pola walki przychodzą coraz nowe wieści o bohaterских wyczynach naszych żołnierzy. Drzę o los syna, ale gdyby nie był tam, gdzie wszyscy, nie chciałabym żyć. Wojna zakończona, ale nie dla nas. Nie wolno nam się załamywać, żadna demobilizacja nie osłabi w nas ducha, będziemy pracować jak kto umie i ile nam sił starczy, będziemy trwali, ale nie utopią i frazesami, ale twardą i upartą wolą. Dziś 15 VI 46, pamiętny dla nas dzień. Uroczysta Msza Święta, wszystkie serca łączą się w jednym pragnieniu. Ślubujemy, że w walce o wolną Polskę nie ustaniemy.”

Irena Bereśniewicz – Wspomnienia

Trwoga 10 lutego 1940 roku.

W nocy z dziesiątego na jedenastego lutego nie spał nikt w sąsiedztwie. Już z wieczora rozeszła się wieść, że do najbliższego miasteczka nadciągnęły dziesiątki chłopskich wozów i całymi korowodami oczekiwały na rozkazy przed tamtejszym NKWD. Drobnymi osadnikami, sąsiedzi z za lasu, zebrali się u tatuścia i długo w noc prowadzili rozmowy próbując cokolwiek zrozumieć, wywnioskować. Jedynymi wiadomościami, jakie były jakieś niezrozumiałe, to pełne politowania słowa Żydów, ale ci znając tajemnicę, nie wydali jej jednak. Mężczyzn może zabiorą do wojska? Czyli tatuś i brat, który ledwie uciekł z sowieckiej niewoli i krótko był w domu? Więc uciekać? Dokąd? Po stronie niemieckiej tak samo. Na południe? I wiem, że zapadło postanowienie, że ktoś musi zostać w domu prócz kobiet – może jednego tylko wezmą, w takim wypadku drugi zostanie, by na chleb zarobić.

Zajadłe szczekanie psów postawiło nas na nogi. Widziałam jak rodzice przeszli przez pokój – ubrani, jak z wieczora – nie kładli się spać tej nocy. Brat mój, osiemnastoletni chłopak, zmęczony jeszcze niedawnym więzieniem, spał jak i ja, i zerwał się również na walenie w drzwi. Dobrze znajome słowa: – *otkrojtie!* Tyle razy już byli tak nocą, czy późnym wieczorem i znów – po co teraz? Patrzyliśmy z bratem na siebie nie podnosząc się nawet z pościeli. Wwalili się do naszego pokoju: enkawudzista i „nasza” milicja uzbrojona w karabiny. Broni już dawno nie było w domu prócz jednej dubeltówki, ale oni muszą przeprowadzić rewizję. Siedząc nieruchomo na łóżku patrzyłam jak rozeszli się po pokojach. Tatuś jeszcze coś mówił do tych ludzi, których znał tak dobrze, któ-

rzy tu przychodzili po pracę w lesie i po swą zapłatę za tę pracę, którzy nawet w najstraszniejszych czasach grabieży okolicznych osad i majątków nas oszczędzili – tatuś znał ich rodziny, ich domy, bywał tam nieraz w potrzebie, nieraz z pomocą. Dziś wszyscy byli obcy, milczący.

Po rewizji pozwolono nam poruszać się i ubrać. Kiedyśmy zebrali się razem, enkawudzista kazał nam **uważnie** słuchać: Ukaz o przeniesieniu naszej całej rodziny do Wschodniej Białorusi. Będiesz tam pracował – zwrócił się do tatusia – jak tutaj, jako leśniczy, dzieci starsze, jak nie zechcą się uczyć, będą pracowały. Dostaniecie wszystko: dom, odzież, jedzenie, pieniądze.

Za dwie godziny trzeba było się zabrać. Milicja pomagała składać odzież, starając się byśmy przypadkiem wszystkiego nie wzięli. Jedzenie tylko na drogę – mówili. A ile dni miała trwać ta droga? Na to odpowiedzi nie było. Enkawudzista spojrzął po ścianach, kazał zdjąć obrazy. Niechęć we mnie wezbrała: po co? – pytałam hamując wybuch złości. Rozpadało się przecież wszystko, co dotąd istniało – kończyło się. Czułam przecież, pamiętałam na podstawie opowiadań rodziców, że teraz idziemy śladami tych, co kiedyś, przed laty tak samo szli, to nie był wyjazd do Wschodniej Białorusi... I tak patrząc na wszystko, co się pakowało, milczałam i tylko zdawało mi się, już i życie się kończy nawet, i przecież od tej chwili nie będzie już nic potrzebne. Ktoś podniósł ze stołu haftowaną serwetę – popatrzyłam już tym razem z wściekłością, to bolszewik zdejmował wszystko, co mu nawinęło się pod rękę i rzucał wszystko w otwartą walizę. Wyrzuciłam z powrotem. Po co to wszystko? Po co te drobiazgi? Życie się kończy, dom trzeba rzucić, a wszystko to należy do domu – w obcym lesie niepotrzebne. Bolszewik zaś podniósł to wszystko raz jeszcze z ziemi i włożył z powrotem mówiąc, że i to się przyda... Czy miał w sobie coś ze współczucia może? Czy też robił to tylko dlatego, że znał swój kraj, że wiedział, że za te rzeczy może kiedyś można będzie dostać kawałek chleba? Bo w szerokiej Rosji tych przedmiotów nie ma, bo nie ma na nie czasu... Temu właśnie „ludzkiemu” enkawudziście zawdzięczaliśmy potem, że o parę miesięcy mniej było straszego głodu. Inni bowiem nie pozwalali zabrać nawet najpotrzebniejszych do życia przedmiotów.

Stały przed domem sanie załadowane rzeczami. Milicjanci wynosząc na nie rzeczy kradli co się dało. Za nami został dom pusty, mróz przez pootwierane drzwi tylko wchodził. Rozrzucone meble i sprzęty. Psy przypadły nam do nóg. Siostra moja, jedenastoletnie dziecko, z płaczem tuliła do siebie małe kociątko: – Sybiraka nie zostawię, mamu. Mamusia podniosła wzrok na bolszewika. – Niech bierze, byle tylko innym w wagonie nie przeszkadzał. Na prośbę dziecka i psy z nami poszły, odprowadziły nas do stacji i wróciły do pustego domu.

Mróz tego dnia był straszny, ponad 40 stopni. Słońce wstało czerwone, płomienne, a zimno straszliwe. Śnieg głęboki leżał – od lat takiego nie było – mienił się iskrami i zwiślał ciężko na świerkach i sosnach. Czy to rzeczywiście ostatni raz tą drogą kazano rodzicom iść. Lecz mama chora na serce nie uszłaby i dziesięciu kroków, więc usiadła na saniach. Tatuś szedł może pół kilometra i nagle zestarzały, zgarbiony – jeszcze parę miesięcy temu na czterdzieści lat nie wyglądający mężczyzna – oparł się na sanie i iść już nie mógł dalej.

Trzydzieści parę kilometrów do stacji Stołpce jechaliśmy cały dzień. Co raz dołączały do nas szeregi furmanek wioząc osadników, gajowych, leśniczych. Wśród osadnictwa jechała straszliwa nędza: malutkie dzieci od dwóch

dni do roku prawie wszystkie zmarły uduszone często brakiem powietrza, gdy matki chroniły je od mrozu. Odbierano małe trupki, by rzucić nie wiadomo gdzie. Parę osób uciekło po drodze. Brat spojrzął na ojca, gdy przejeżdżaliśmy prze las ..., zawahał się ... i został.

Na bocznym torze długim szeregiem stały wagony. Był wieczór, kiedy załadowali nas do jednego z nich, Byli tam już inni. Zaledwie zdążyliśmy obejrzeć się, jak było nas siedem rodzin, ponad 35 osób w wagonie. Ciemno, tłok, płacz dzieci i starszych. Przepychamy się wzajemnie lokując się, jak można, na piętrowych pryczach po obu stronach wagonu. W środku był mały żelazny piecyk, po obu stronach zatłoczone rzeczy. Ktoś wyciągnął lampę. Zabłyśło małe światełko, by do reszty przerazić wyglądem przerażonych, zmęczonych nie-ludzko starszych i dzieci. Gdy pierwszy strach minął, ludzie zaczęli oglądać się za jakimś miejscem, gdzie można było się jakkolwiek ulokować.

Byliśmy w wagonie z samymi osadnikami, część z nich to Białorusini mówiący po białorusku i nie zawsze przyznający się do Polski. Szczególnie tu nie było to wygodne, lepiej było być Białorusinem. Przywykli do ciężkiej pracy i prawie surowych warunków życia, szybko rozgościli się w wagonach uzyskując przewagę nad nami.

W nieznane

Którejś nocy zachwiały się koła wagonów po śniegu i pociąg ruszył. Dokąd? Nie wiedzieliśmy. W drodze żyliśmy prawie wyłącznie tym, co nam przynieśli do wagonu. Byliśmy zamknięci w wagonach i prawie nas nie wypuszczano. Ludzie zaczęli chorować. W drodze do Moskwy kraj był jeszcze zaludniony. Jechaliśmy na Wołogdę. Ślady życia były coraz rzadsze. Na niewielkiej stacji Wożegda stały furmanki kołchoźników. Na sanie wsadzano tylko chorych i dzieci maleńkie. Starsi szli piechotą, W ten sposób pognano nas na miejsce przeznaczenia.

Barak długi i mroczny, przedzielony tylko deskami na maleńkie klitki szerokości trzech, czterech metrów. Środkiem był korytarz, po obu jego końcach drzwi, najczęściej otwarte. W naszym kącie okienko było półmetrowe, z małych szybek złożone, zawiane śniegiem u dołu. Zdobyliśmy gdzieś jakieś kozły, trochę desek, więc też urządziło się wspólne na pięć osób postanie. Chleba już nie było, zapas zabrany do pociągu skończył się. Od paru dni żyliśmy gotowaną kaszą bez okras. Zmęczeni nie-ludzko całodzienną drogą odbytą piechotą za pędzącymi saniami, nie pomni już na głód, układaliśmy się spać na tym przeznaczonym już miejscu zamieszkania.

Następny dzień zbudził nas gwarem rozmów. Ludzie już domagali się chleba. Tego dnia okazał się cel naszego pobytu w lesie: kto chce jeść musi pracować. Tę odpowiedź usłyszały kobiety, matki kilkorga dzieci, które tu przywiezione same bez mężów, co zginęły gdzieś na wojnie albo zostali aresztowani, pierwsze poznały głód. Pierwsze też stanęły do pracy z siekierą w rękę, bo innej pracy nie było. Ubrane lekko, bo nie na tutejszy klimat, wyszły w las, pierwszy raz trzymając siekiery i piły, pozostawiając na opiece Bożej tylko małe dzieci. Czasem było ich siedmioro, a najstarsze dwunastoletnie. Śnieg głęboki, mróz, zimno, kilka kilometrów drogi do działki, którą przeznaczono rąbać. Nikt tam nie uczył. Stawały po trzy przy drzewie, nie wiedząc od czego zacząć. Szybko

się nauczyły, by dać chleb maleństwom, co głodne, w brudzie i tłoku czekały na matkę – *lesoruba*, co wróci wieczorem z pracy, otrzyma awansem dwa lub trzy ruble, by za to kupić 2 kilo chleba na siedem osób. Czasem było święto – biały chleb – wtedy za trzy ruble było tylko półtora kilo, a gdy był jeszcze lepszy – to i jedno kilo.

Podobno od jedzenia można się odzwyczaić. Tak też i przywykły nawet dzieci do kromki chleba na dzień, a czasem – gdy kobiety poznały trochę pracę – wyszły z niemi dwunastoletnie i dziesięcioletnie dzieci. Za to wieczorem matka dostała trzy ruble, chłopak 2 i było pięć. Za parę dni jednak bolszewicy nauczyli się, dawali matce 2 a dziecku rubla i dalej było to, co na początku.

I tak przez pierwsze dni nikt nie zmuszał do pracy. Na płacz kobiet i dzieci była jedna odpowiedź: - pracuj. Więc też powoli coraz to kogoś innego głód wyganiał do pracy. Mężczyźni szli sami, zresztą byli to przeważnie osadnicy, przywykli do pracy fizycznej, znali też pracę w lesie. Żony ich mogły zostać w domu przy dzieciach i te miały przynajmniej kąć jakiś ciepły, bo drzewa tu brak nie było, baraki śniegiem zasypane trzymały ciepło i ... zaduch.

Codziennie odbywała się inspekcja *posiołka*. Szedł komendant, milicjanci. Na 12 metrach kwadratowych często mieszkało 12 osób i ta ciasnota potęgowana plagą wszy czyniła życie nieznośnym. Pracujące kobiety zostawiały swoje dzieci bez nadzoru i opieki – wszy je zjadały i rozchodziły się po całym baraku, po ścianach już wędrując. To wszystko nie obchodziło przeprowadzającym inspekcję. Jedyną ważną rzeczą było, aby była myta podłoga. Na pytanie czy dobrze wam się mieszka, wszędzie była odpowiedź, że ciasno. Popatrzyli po natłoczonym kącie i mówili, że to są zupełnie dobre warunki i że za parę lat, jak zbudujemy tu własne domy, będzie nam lepiej.

Kwiecień miał się ku końcowi. Czuć było, że jakaś zmiana następuje w tej krainie śniegów. Dnie stawały się długie, śnieg osiadał i na działkach wyrosły spod niego całe masy złomów i wywrotów. Wszystkie czarne, bezładne, połamane – strachem napępniały nas przywykłych do innego krajobrazu. Idzie lato i jakie ono będzie?

Wtedy któregoś wieczora zawołano nas jak zwykle na zebranie i odczytano listę nazwisk – na spław drzewa przeznaczeni. Starsi niechętnie odchodzili od rodzin i tak samo niechętnie opuszczali swe dzieci. Rodzice moi załamywali ręce, gdy usłyszeli, że i ja idę. A chciałam iść jak i moje współtowarzyszki, bo nas ciekawiła nawet ta wołogodzka tajga, skrawek jakiegoś świata poza posiołkiem, który był dotąd zakazany. Nie wolno nam było iść dalej, jak za obręb działki, którą rąbaliśmy. Chciałyśmy zobaczyć ludzi tutejszych, porozumieć się z nimi, może coś sprzedać, by nie żyć wyłącznie na trzech marnych rublach awansu, których na sam chleb nie starczało. Łudziliśmy się, że tam zarobimy więcej niż w lesie – tak nam zresztą mówili, a my ciągle nieuleczalni marzyciele sądziliśmy prawie wszyscy, że tak źle wiecznie traktować nas nie będą, że może wreszcie będzie zrobiony rachunek i dostaniemy wypłatę, tak upragnione ruble.

Intrygowała ta myśl o obiecany lepszym zarobku i o zobaczeniu czegoś poza posiołkiem, z którego właściwie nawet wymknąć się nie było można, bo niedaleko się zaszło – dróg nie było. Były tylko trzy, zawiane śniegiem, rzadko kto nimi chodził czy jeździł. A gdyby zająć nawet do jednego kołchozu znajdującego się względnie blisko, to ludzie sami głodni obcemu jeść nie dali. Czyli o

ucieczce nie było mowy, nie długo można iść będąc głodnym. Żadne państwo na świecie nie ma tak sprzyjających warunków do trzymania ludzi w niewoli, tu sama natura pomagała. Lasy, w które nas rzucili były podmokłe i puste, aż martwe. W zimie niedźwiedź śpi a poza nim nie ma tu prawie innych zwierząt. Czasem – parę razy w ciągu zimy – widziało się ślad zająca. Nawet wilki nie miały co tu robić i tak stały te olbrzymie puszcze niestrzeżone, dzikie, umarłe. Zimą zaraz za granicą *posiołka*, na każdym skraju lasu, stał głód – nie było po co iść, a wiosną potem, czy latem nie było drogi z puszczy, co rosła na bagnie. Jedyna droga, łącząca nas ze światem, stawała się bagniakiem – obejść ją to znaczyło zabłąkać się w ciemnym na pół uschniętym świerkowym lesie, tak podmokłym, że i mchy często nie chciały rosnąć, a ptaków się nie słyszało. Były w tej pustyni oazy, wzgórza, gdzie rosły brzozy i osiny, i precudne, bujne, nie-północne życie wrzało. Było dużo tych oaz nie tak przy *posiołku*, gdzie już nasi poprzednicy Ukraińcy las wyrabiali, lecz dalej – setkami kilometrów ciągnęły się wciąż jednakowe lasy świerkowe bez śladu drogi czy osiedli. Gdzieś tam wśród nich błota kwaśną trawą porosłe, puste, bez krzaczka, bez krzewu. To już nie do przejścia nawet dla zwierząt. Łosie tam jedynie żyły i miały swe chody. Te łosie, których jeszcze nie dali rady wymordować tutejsi przywódcy ludu.

W takim więzieniu zamurowani, młodzi, wciąż jeszcze żądni wrażeń, choć głód zaglądał w oczy, ze strachem często wracający do domu, bo właśnie nie było awansu i w domu chleba nie będzie - nie dostanie go chora matka, ani mała siostra – szliśmy poza posiołek z radością prawie, że pewno tam będzie lepiej. W domu głodni nie będą, ponieważ [jeśli] ktoś odchodzi na spław, to było obiecanie, że rodzina każdego dnia dostanie zań swoje trzy ruble awansu.

Śnieg jeszcze leżał, lecz droga zalana wodą. O parę kroków za *posiołkiem* stanęliśmy przed olbrzymim bagnem, na którym nie było pomostu, ani ścieżynki z kęp i korzeni. Od czasu do czasu krzaki, złomy w poprzek leżące albo śnieg czysty, biały a najzdradliwszy, bo nie wiadomo, jakie dziury pod nim pełne lodowatej wody. Na przedzie szedł przewodnik – brygadier, który odszukiwał prawdziwy szlak w tym labiryncie dróg jakichś niby, które nigdy drogami nie były, przeświecających się polanek, błędnych prześwitów i rozlanych gdzieś wód.

Szybko trzeba było zdecydować się, by nie zostać od innych w tym nieznanym lesie. I tak moje sznurowane buciki, jedyne z Polski obuwie, jakie nadawało się niby do pracy, pogrążyły się w rozmiękłym śniegu i zimnej, lodowatej wodzie. Za parę chwil byłam już po kolana w wodzie i biegiem już prawie, by zdążyć za innymi. Lepiej już było tak biec po błocie, zapadać się na śniegu niż skakać na kępy, uciekające spod stóp. Na plecach zaczął uwierać zawiązany toból, a przewodnik pędził dalej, szybki i zwinny, w wysokich butach gumowych (które też chyba musiał mieć pełne wody, co nas pocieszało). Szybko zniknęło pragnienie zobaczenia czegoś poza *posiołkiem*. Nogi kostniały od zimnej wody, ramion nie czułam od tobołu z [resztkami] bielizny, ubrania. Najcięższe były koce i ta siekiera, którą ciągnąć trzeba było. Przy końcu podróży nie chciało się już nic, tylko odpocząć. I głód już nawet nie dokuczał. Na wzgórzu baraki, takie same jak nasze, tak samo długie i niskie. Wskazano nam jeden,

wszyscy tam mieliśmy być razem: kobiety, mężczyźni i подростki po lat czternaście. Stały tam łóżka drewniane, na środku dwa duże piece.

Splaw drzewa

Było już popołudnie. Nie zdążyliśmy zrzucić z siebie tobołów, jak zamiast odpoczynku czy pożywienia kazano nam zbierać się do pracy. Poszliśmy nad rzekę. Płynęła niedaleko, bo może z kilometr drogi tylko. Niezbyt szeroka, kręta, czasem płytka, czasem głęboka. Na brzegach jej ciągnęły się długie do stu metrów stosy drzewa, raz leżące równo, czasem złożone na świeżo wyrąbanych działkach, gdzie rosły jeszcze młode drzewka. Dużo łez, bezsilnego żalu, zmęczenia i gniewu spowodowały te na pozór nieznaczące, wysoko ścięte, wiotkie zdawałoby się brzoźki i osiny. Brygadier dał nam do rąk kije, kazał zaostrzyć siekierą i spychać nimi drzewo do wody. Pierwsze bierwiona na urwistym brzegu spadły nierówno i utknęły, za nimi inne zwały się same, na krzyż i w poprzek. Tak niespodzianie, że ledwo zdążyliśmy uskoczyć, by nam nóg nie połamały i nie zepchnęły swym ciężarem do wody. Długo męczyliśmy się zanim puściłyśmy na prąd pierwszy zwał, Mokre już po pas od lodowatej wody, wszystkie sześć, jak stanowiłyśmy brygadę, po szesnastu lat zaledwie liczące, patrzyłyśmy na siebie, to na wodę, którą łód spływał wraz z bierwionami, to na stos drzewa, którego koniec był gdzieś daleko pomiędzy drzewkami w zapadniętej, pewno podmokłej dolince.

Następne dni przyniosły takie znużenie, że pracowałyśmy tylko jak automaty nie widząc, co się dzieje, śpiąc prawie. Budzono nas o w pół do trzeciej rano, zjadałyśmy w stołówce szczupłą porcję kaszy, najczęściej bez chleba, a o trzeciej długim sznurem schodziliśmy wszyscy nad rzekę. Wczesne północne zorze wstawały. Chłód przejmował, bo nocami przymrozki bywały, ścinające błoto, susząc nam ścieżynki, byśmy nóg nie zmoczyły zbyt wcześnie. Wysuszone na kość przy piecu buciki uwierały na nogach, ale były jeszcze przyjemne – suche. Tylko czasami już z rana trzeba było przeprować się na drugą stronę. Kładek ani łódek nie było. Były za to ciągle płynące cienkie i grube bierwiona, śliskie, czasami zbite przez prąd jak tratwa, czasem ruchliwe, rozrzucone. Po kilku dniach i paru nieprzyjemnych kąpielach umiałyśmy już przedostawać się na drugą stronę nie zmoczywszy się nawet. Takie proste – biegnie się tylko nie zatrzymując się ani na moment, bo kto się zatrzymał, był po pas lub z głową w wodzie, a suszyć się przy ognisku można było tylko pół godziny, nie dłużej i już trzeba było potem suszyć się na słońcu lub na chłodnym wietrze, gdy chmury niebo przysłoniły.

Godziny popołudniowe wlekły się niesamowicie długo. Czasem bywało ciepłej, bo już śnieg schodził i nawet pierwiosnki wyrastały spod niego. O wtedy, gdy brygadier odchodził wzdłuż brzegu, kładłyśmy się na zmianę na stosie drzewa, gdzieś pomiędzy olbrzymie, dość rzadko ułożone osiny i zasypiałyśmy jak kamień. Pod spodem był lód jeszcze, a po wierzchu biegały już olbrzymie masy jaszczurek, bo w kraju tym życie nie czekało nigdy aż ostatni lód i śnieg zginie. Smutno było, gdy przyłapano kogoś na takim odpoczynku. Wieczorem nie otrzymywała awansu i głodna musiała iść spać, a czasami nawet szło sprawozdanie do komendanta *posiolka* i już na pewien czas cała rodzina dostawała awans co parę dni tylko. Przed obiadem już nie jeść się chciało tylko zasnąć, zasnąć. Obiad przywożono nad rzekę: po porcji nieśmiertelnej kaszy owsianej i –

dla nas – zapachu ryby, którą zjadali kołchoźnicy i Ukraińcy, nasi poprzednicy. Ci zawsze byli pierwsi, a mieli już inne prawa, bo przychodzili później i wcześniej szli do domu, i w czasie obiadu mieli dwie godziny odpoczynku – my tylko jedną. Potem dowiedziałyśmy się, że im płać inaczej za osiem godzin roboczych, inaczej za nadliczbowe. Pracowali zresztą jak chcieli nie przejmując się, że nie dostaną pieniędzy. Szczególnie Ukraińcy, wysocy, silni, zdrowi, bo zagospodarowani już od dziesięciu lat i nawet w tym ubogim kraju umieli postawić swe kołchozy tak, że nie mieli biedy tak skrajnej jak nasza. Dalszego zesłania się nie bali, przywykli do tego.

Po krótkim posiłku padałyśmy na stopy drzewa i za godzinę budził nas brygadier. Pierwsza godzina. Słońce wysoko, dokuczać już zaczynało. Stawałyśmy po obu stronach stosu drzewa, by toczyć do rzeki bierwiona po umiejętności już ułożonych podkładach, które też jednak nieraz nie wytrzymały ciężaru i właśnie te najcięższe sztuki zapadały się w błoto, między pnie, gdzieś kilkadziesiąt czasem metrów od brzegu. I dziś nie wiem, czy rzeczywiście tak mało zarabialiśmy – 45 kopiejek dziennie – za 16 godzin pracy, czy też umiętni brygadierzy liczyli nam tak dobrze naszą pracę, zapisując w książce skrupulatnie numer stosu i długość jego, lecz licząc 100 metrów w głąb ciągnący się stos po cenie zrzucania do wody z pięciu metrów od brzegu. Czyli cały trud włożony w pracę ciągnięcia tego drzewa tak daleko, czyli dalsze 95 metrów licząc proporcjonalnie, zarabiali na nas – mieli pracę za darmo. Kto miał upomnieć się o to, gdy nam nie wolno było mówić, by nie stracić i tego, co dawano? Brygadier i milicjant mieli nieograniczoną prawie władzę nad nami, w każdym razie mogli w każdej chwili wtrącić do więzienia – jak się też wielu zdarzyło – a kto by wtedy zarobił na chleb dla tych, co nie mogli pracować? Za podejrzliwość spojrzenia, za okazanie niechęci czy opieszałości kara była szybka: brak awansu, czyli głód. Słabszym robotnikom nie przysługiwało prawo do cukru czy oleju, które czasem, raz na miesiąc lub dwa wydawano. Zaczynałyśmy więc zęby, by milczeć, by nie pozbawić chorej matki czy ojca odrobiny słodkiej herbaty czy oleju słonecznikowego. Chyba tylko młodość i strach przed tymi represjami dawały nam siły, że nie padłyśmy ze zmęczenia, dorównałyśmy w ciągłości pracy nawet mężczyznom.

Już dawno zeszedli z rzeki kołchoźnicy, słońce mocno chyliło się ku zachodowi, a raczej północy, gdy odzywał się gwizdek – zejście z pracy. O tej porze zmęczenia nie odczuwałyśmy. Na wyścigi, nie czekając na przyptyw większej ilości drzewa, po tak cieniutkich bierwionach, że dziwne było, że nawet przez ułamek sekundy może utrzymać człowieka, przebiegałyśmy koryto rzeki. Buciki mokre, (bo) nie trzeba było zadawać już sobie trudu z wybieraniem ścieżki na grząskim błocie, co zalało groblę łączącą nas z *posiołkiem*. Już nawet zimno nie było. Około godziny dziewiątej stawałyśmy w baraku. Potem mycie się, pranie szmat, którymi się nogi okręcało wkładając buciki, rozwieszanie tego jak się dało przy dwóch piecach mocno napalonych i pobieranie pieniędzy, i chleba. Najczęściej nie starczało ich na całodobowe utrzymanie w stołówce (kaszę), więc wieczorem był tylko chleb i *kipiatok* (wrzątek). I jak mogliśmy, tak szybko szłyśmy spać. Ale w rojnym, osiemdziesięciu ludzi mieszczącym baraku nie było ciszy. Kilku niesfornych podrostków, którzy w dzień potrafili umiejętnie oszukać brygadiera i wyspać się, obecnie zaczynało harce – tak jak umówili się z bolszewikami, by już zupełnie pozbawić (nas) snu. Rzadko kiedy cisza następowała o godzinie dwunastej. Czasem nowe zorze zaczynały już wstawać, a ba-

rak jeszcze huczał gwarem głośnych rozmów lub dyskusji. Często w drzwiach małego przepierzenia stawał milicjant. Nie lubił, gdy starcy prowadzili dyskusje starając się rozwikłać za co i jak nam płacą. Nie znając polskiej mowy poznał jednak zawsze o co chodzi w dyskusji i poznał zawsze, gdy śpiewano jakieś pieśni kościelne.

Tak miesiąc minął. To nieprawda, że człowiek nie może wytrzymać takiej pracy. Przeżyliśmy wszyscy i ci, co kpiąc z awansu (gdy otrzymywali pomoc z Polski) pracowali nie bojąc się ani kary, ani represji, i ci, co drżąc o każdego rubla w półśnie, półprzytomni snuli się bez końca z bierwionami ku brzegu gdzieś zza krzaków lub z drugiego brzegu: – nu czemu stoisz – *dawaj robotaj!* Kiedy drzewo było średnio grube i równe – świerki, jodły czy sosna; bardzo rzadko tutaj – praca szło znośnie, widać było ją choć, co nas cieszyło, bo zdawało się ciągle, że przecież nam to policzą, że za trud ten dostaniemy pod koniec spławu wypłatę – pieniądze. I już w domu nie będą głodni choć czas pewien, nie będzie łez w oczach mamy, która chora będąc, zajmując się tylko domem, sobie najmniejszą zawsze część przydzielala i wiedziałam, że czasem była bardzo głodna a jeszcze oddawała mi wieczorem ostatni swój nie zjedzony na obiad kawałek chleba: – jedz Iruś, ty pracujesz... A gdy mała siostrzyczka wpadała do domu: – mamo jakbym coś zjadła – widziałam, jak odwracała głowę do okna, a po twarzy zniszczonej, schorowanej płynęły łzy jedna po drugiej. Wtedy to małe zaczynało też płakać, a ja zrywałam się zostawiając wszystko, uciekałam gdzieś mówiąc, że się spieszę, bo jest zebranie i być muszę, i gotowa byłam pracować jeszcze dziesięć godzin, byle mi dali za tę pracę, to co mi się należy. Słaba nie byłam, pracować się nauczyłam, nie była mi obca już ani siekiera, ani piła, ani olbrzymie żelazne haki do układania drzewa – pracowałam prawie na równi z mężczyznami w sile wieku, przywykłam nawet do ciężkiej pracy, mniejszy był mój rezultat pracy, lecz czyż tak bardzo o wiele, że gdy przychodził termin wypłaty mówiono, że ja jeszcze jestem winna, że zbyt dużo brałam awansu... A oto teraz pracowałam już nie 10 a szesnaście (godzin) i co dzień [z nadzieją], że tę pracę już chyba zapłacą nareszcie.

A to już drugi miesiąc się zaczął... Znużenie dochodziło do kresu, zdawało się ciągle, że następnego dnia nie będę już w stanie wstać, gdy odezwie się głos milicjanta: – *nu dawaj*, wstawaj i odzywał się jednocześnie patefon z melodią jakiejś sowieckiej pieśni, Jeszcze dźwięczą mi w uszach słowa jednej: *po-mniat psy atamany, pomniat polskije pany* – jak bolszewicy zwyciężali w 20-tym roku... O tak, pamiętają dobrze hetmani kozaccy, co tu właśnie w tych pustyniach swe przekleństwo za zniszczenie życia przekazali dzieciom i dobrze pamiętają *polskije pany*, bo jeszcze dzieckiem będąc znałam historię bolszewizmu, tak jak znali ją wszyscy na wschodnich ziemiach polskich.

Tak to uprzyjemniano nam wstawanie z rana. Na brzegach rzeki było coraz mniej drzewa. Wtedy otrzymaliśmy wszyscy bosaki i stanęliśmy do przepuszczania drzewa, które zawałiło całą rzekę. Na ostrych i płytkich zakrętach powstawały olbrzymie spiętrzenia, które trzeba było rozrywać, rozrzucać, gdy tymczasem z góry pędziły nowe i coraz to niszczyły i jeszcze bardziej komplikowały już wykonaną pracę. Wtedy na takie miejsce spędzano całe brygady silnych Ukraińców, którzy stawali do pracy i przez dwa dni czasami usuwali załom. Nasłuchaliśmy się ich klątw, gdyż uważali, że winę za to wstrzymanie pra-

cy stanowiła nasza nieumiejętność lub brak siły do usunięcia załomu w zaczątku.

Łzy smutku i radości

W lipcu kazano nam wrócić na *posiolek*, gdzie wrzała już nowa praca. Walono las na budowę. Powstawały nowe baraki, budowano szkołę i szpital. Szpital chyba dlatego, że niewiele osób poszło na cmentarz założony w głębi lasu – nie wiadomo (czy dlatego?).

Umierało niewiele, lecz choroba szerzyła się strasznie. Prawie 1/3 *posiołka* leżała już albo w izbach albo w nowym szpitalu. Choroba objawiała się bardzo wysoką gorączką powtarzającą się co parę dni i niesamowitym bólem głowy. Wybuchła jeszcze epidemia krwawej dyzenterii. Tutaj można było się domyśleć, że przyczyną były jagody i trawy, którymi zastępowano brak pożywienia. Po powrocie ze spławu zastałam rodziców chorych i na małym skrawku ziemi przed barakiem, przeznaczonym na mały ogródek pracowała mała siostrzyczka. Wszyscy mężczyźni stanęli do budowy, nas wzięto na sianokosy. Sianokosy były w głębi lasu. Właściwie po tak ciężkiej pracy na spławach był to dla nas odpoczynek. Po dwóch tygodniach wszystkie kosiłyśmy jak starzy kosiarze.

Przyszła jesień, dni chłodne i deszczowe. Na *posiołku* mówiono nam o wypłacie. Ciągły głód dokuczał tak, że mowa ta napełniała nas jakąś nadzieją, że może wreszcie skończy się to codzienne zebranie awansu, że dostaniemy tyle, aby chleba mieć pod dostatkiem. I oto nadszedł dzień wypłaty. Po powrocie ze swej pracy nie skończyłam jeszcze kolacji, gdym mama powiedziała mi cicho, bym szła już, bo może pierwsza dostanę pieniądze, jak pójdę wcześniej. Długo w noc trwała wypłata. Wywoływano nazwisko i odczytywano ile wybrał awansu i ile mu się należy. Pięć osób na dwustu robotników dostało wypłatę, inni byli winni jeszcze państwu. Dostali ci, co umieli być wszystkim, czego chcieli bolszewicy. Tatuś był winien około 200 rubli, ja mniej więcej trzysta, brat niewiele, bo nie brał prawie awansu. Patrzyłam na innych. Kobiety matki nielicznych dzieci, które najwięcej pracowały i pierwsze poszły do pracy były zadłużone najwięcej, po 700 i 900 rubli. Te nieszczęsne matki i dzieci, co żyły jagodami i zajęczym szczawiem, były jak kamienie zmartwiałe albo... śmiały się, gorzki to był śmiech.

Nie chciałam wracać do domu. Wolałam uciec gdzieś – wiedziałam, że mama czeka i marzy o tym, by kupić sobie kozę i mieć trochę mleka, bo ostatnie miesiące wyczerpały ją tak, że nie była w stanie chodzić. Wiedziałam, że jeżeli nie dostanie lepszego pożywienia, nie będzie żyła i ja to wiedziałam, bo słyszałam jak mówił *posiołkowy* felczer. A oto teraz stałam przed drzwiami domu znów bez grosza, za tę pracę bez chwili wypoczynku, w którą wkładałam wszystkie siły. Ani bunt, ani żal nie pomogły. Skończyły się złudzenia, teraz już wiedziałam czego się spodziewać dalej. Teraz wiedziałam, że pracą tu się chleba nie zdobędzie, że trzeba pójść na służbę do bolszewików, zdradzać swoich, to była jedyna droga, by dostać wypłatę. Zatrzymawszy się we troje przed domem długo w noc radziliśmy, co teraz, co dalej? Było jeszcze trochę ubrania. Trzeba było iść do ukraińskiego kołchozu i za to ubranie kupić kozę – innej rady nie było. Tak też i stało się, gdy otrzymaliśmy pozwolenie.

Gdzieś przed Bożym Narodzeniem tatuś ciężko zachorował i zostałam sama przy pracy. Wtedy przydzielono mnie do stachanowskiej brygady. Z prze-

rażeniem szłam do lasu wiedząc, że będą miała do czynienia z robotnikami najbardziej wychwalanymi przez bolszewików. Ale to już rok czasu prawie upłynął od chwili, gdy ci ludzie stanęli do pracy na ziemi sowieckiej i już poznali dość dobrze wszystkie sowieckie metody, na tyle dobrze, że przez cztery miesiące wspólnej pracy nie usłyszałam od nich złego słowa. Pracowaliśmy niezwykle dużo, ale też nie popędzał mnie nikt, gdy nie zdążyłam wykonać swej pracy. Stawaliśmy bowiem do walenia drzewa we troje, potem ją przygotowywałam ogniska do palenia suchych gałęzi a oni sękowali, cięli w sztuki. Czasem trzeba było przy tym pomóc, a czasem oni pomagali mnie jeszcze.

Tymczasem coraz gorzej było z żywnością, coraz gorzej i trudniej, bo po kilka dni nie było awansu, a na wypłatę przestałam już liczyć. Moi współtowarzysze pracy starali się jak mogli, bym zdążyła jeszcze w ich brygadzie wyrobić normę, co oznaczało około 120 rubli premii na sezon. Patrzyłam na tych ludzi co do niedawna wydawali każde, nawet lekkomyślnie wypowiedziane słowa i zaczynałam rozumieć, jaką to szkołę przeszli, skoro z najbardziej zaciętych komunistów stawali się w mowie Polakami, a w postępowaniu z ludźmi solidarni, a nawet pełni dobrych chęci pomocy i zrozumienia.

Cztery miesiące nie wiedziałam co jest wypoczynek. W niedzielę pracowało się również. Nie iść do pracy na jeden dzień znaczyło stracić zarobek dni poprzednich. Wstawałam rano o 6 godz. Mama dawała mi jakąś strawę, czasem z kartofli lub grochu a najczęściej sławny rosyjski *kipiatok* i tak szłam do pracy. W lecie, gdy rozpoczął się sezon jagód, zaczęliśmy uciekać z pracy w niedzielę, bo zamiast pracować za darmo (w niedzielę pracowało się za darmo – na państwo i niby dobrowolnie) lepiej było mieć trochę jagód, którymi przecież żyć można. Tyle rodzin na *posiołku* żyło tylko jagodami. Szły w las sześcio lub siedmioletnie dzieci i znosiły do domu całe kosze jagód. Często błądziły i niejedną był wieczór, gdy cały *posiołek* biegł do lasu szukać dzieciaków, które zabłądziły.

I tak kiedyś poszedł w las dziesięcioletni chłopczyk i sześciolatnia dziewczynka. Wieczór nadszedł, matka wróciła z pracy, a dzieci nie ma. Kazano bić w gong. Głos gongu brzmiał całymi godzinami, w lesie hukali poszukujący ludzie. Mrok zapadł, ludzie wrócili do domu, by odpocząć po ciężkiej pracy a dzieci nie było. Matka błąkała się po lesie całą noc. Dzień następny wstał, trudno było czekać na powrót dzieci, bo jak znaleźć drogę, gdy całymi setkami kilometrów ciągnie się puszcza nie przecięta żadną drogą. Jak wyjść z tej puszczy, czarnej po bagnach i topieli? Dzieci tymczasem płakały całą noc przytulone do siebie i tak zasnęły. Z rana poszły nie wiedząc w jaką stronę idą. Koło południa stanęły na jednej z dwóch dróg o 10 kilometrów od *posiołka*. Poszły dalej przed siebie i zaszły do kołchozu, skąd litościwi ludzie przyprowadzili je do domu.

Wojna z Niemcami! Jak czekaliśmy tej chwili, by wreszcie ktoś uderzył w tego kolosa na słomianych nogach. Tygodnie ciągnęły się a w nas rosła niecierpliwość, że teraz coś musi się stać, że teraz na pewno stanie się coś niezwykłego. Na darmo czekaliśmy, a w duszach naszych budowana nadzieja wyrwania się z tej przeklętej tajgi upadała i coraz trudniej było podnieść rękę do pracy. I coraz trudniej było iść w każdy nowy dzień, a myśl pozostania tu już na wieki prowadziła nas do rozpaczki. Nierzadko powstawały myśli samobójcze. Bo po co żyć?

Wojna obcięła nam racje żywnościowe. Teraz już nawet mały zarobek był dużym, gdyż chleba nie sprzedawano. Ja już nie mogłam więcej pracować. Z przerażeniem wracałam do domu. Widok głodnych, patrzących wyczekująco na mnie doprowadzał do rozpaczki. Pracowało nas troje, 600 gramów chleba miało wystarczyć na pięcioro. Czekaliśmy aż dojrzeją kartofle na wykarczowanym pod oknem polu. Siostra chodziła po jagody z dnia na dzień, lecz ostatnie już się skończyły. Nadzieje na przewrót w Rosji znikły i dzień stawał się nieskończenie długi.

Aż przyszedł dzień, gdy powiedziano nam: - jesteście wolni. Możecie jechać gdzie wam się podoba i osiedlić się w Rosji, gdzie chcecie. Wolni! Szaleni wolnością a już przerażeni co teraz, co dalej. Zaczęły przychodzić wieści z innych *posiołków*, że na południu gdzieś jest polskie wojsko... Buzułuk, ktoś mówił... Transporty idą na południe... Trzeba uciekać z tego przeklętego kraju. Na południu jest nasze wojsko, nasz rząd, tam nareszcie będzie można żyć. Już powołali tych, co służyli w 39 roku. I na następny dzień brat mój przygotował się do wyjazdu. Ojciec patrzył na to niechętnie. Zmęczony, schorowany, sił nie miał wcale, kto będzie pracował? – pytał. Wtedy, zwykle spokojna, mama powiedziała: - niech jedzie, jeśli uważa, że trzeba. Olek niech jedzie a my też potem pojedziemy. Zebraliśmy ostatnie nasze rzeczy, sprzedaliśmy je, aby mieć pieniądze na podróż. NKWD wystawiła nam zaświadczenia i wypisała cel podróży: Tockoje. Powiedziano nam, że tam jest właśnie ta stacja, gdzie tworzy się polskie wojsko. I to już nas upewniło, że zaledwie z więzień wypuszczono zmęczone szeregi naszych, a już jest myśl i wola, i siły zbrojne.

Podróż obliczano na 2 tygodnie. Pociągi towarowe wiozły z północy najrozmaitszych ludzi, moc nędzy i brudu. Bałam się takich warunków dla rodziców. 600 rubli wpłaciłam na bilety do pociągu osobowego i po jednej nocy przespanej na stacji, skąd nas właściwie wyrzucono, bo nie wolno tam było nocować, a żaden z mieszkańców miasteczka nie chciał nam drzwi otworzyć, znów nadeszła noc bezdomna i straszna. Widziałam spojrzenie ojca, które mi mówiło, że to moja wina, że nie mają gdzie głowy złożyć do snu.

Jeszcze dzień przesiadaliśmy na stacji i wreszcie następna noc zastała nas już w wagonie. Na dokument podróży można było dostać 200 gramów chleba na osobę, a i to było wiele. W Wołogdzie powiedziano nam, że pociągi osobowe dalej nie idą. Trzeba iść do pociągu, który wiezie wszelkich wysiedleńców, uciekinierów z linii walki, głodnych, obdartych, wystraszonych – przeważnie same kobiety i dzieci. Uciekało to wszystko na północ. Przeraźliwe zbiorowiska ludzi stłoczonych w olbrzymich halach stacji. Za stacją na dworze i śniegu rozbijających się o miejsce w pociągu, by tylko jechać dalej – nikt z nich nie wiedział dokąd i po co, ani co będzie tam dalej, czy nie jeszcze gorzej?

Tak zaczęła się podróż nasza wzdłuż północnych tajg. Zapas chleba przygotowany na *posiołku* i suchary skończyły się, i głód zajrzał w oczy, a pociąg tymczasem zatrzymywał się w szczerym polu w śniegu. Głód nie dawał oczu zamknąć, choć sen morzył. Czasem pociąg w nocy zatrzymywał się na stacji. Mama budziła mnie z półsnu: – idź Iruś, może coś dostaniesz, może choć wody przyniesiesz. Złaziłam z pryczy szybko i biegłam w stronę, gdzie i inni biegli. Nie wiedziałam dokąd i czy zdążę przed odejściem pociągu wrócić, bo tu nigdy nie mówiono, kiedy pociąg odjedzie. Przemykałam się pod stojącymi, czarnymi

pociągami, zawsze tak szczęśliwie, że jeśli pociąg ruszył, byłam już na drugiej jego stronie. I nieraz tak było, że wracałam z połowy drogi i łapałam uchodzący mój pociąg. Czasem udawało mi się coś przynieść do zjedzenia, trochę zupy albo chleba. I tak półgłodni, zjedzeni przez wszy w straszny sposób, nie mając gdzie nawet spocząć, dojechalśmy do Mołotowa. Potem jechaliśmy dalej aż do Buzułuku.

W Buzułuku spotkał nas na stacji polski żołnierz. Patrzyliśmy z zachwytem na ciemnozielony mundur. Z Buzułuku kazano nam jechać dalej do Turkiestanu, ale nie zgodziłam się. Nastraszo mnie, że trudno jest tu o mieszkanie. Rodzice byli tak chorzy, że nie mogli jechać dalej i na punkcie zostałam przemocą. Dano nam jeść. Konserwy wydawały się nam błogosławieństwem. I tylko moi chorzy już jeść nie mogli. Patrzyli tylko na jadło z zachwytem. Po miesiącach głodu: chleb, cukier, gorące obiady, które przynosiłam ze stołówki garnizonowej, ale nie było komu jeść. Po miesiącu jednak przyszli do zdrowia i wtedy nastąpił wyjazd do Guzar. Wojsko przeniosło się na południe. My cywile jechaliśmy razem przez wojsko żywieni i odziewani. Koncentracja wojska na południu zapowiadała jakieś zmiany do naszej przyszłości. Uzbeckie miasto Guzar wyglądało strasznie już z okien pociągu. Deszcz padał. Wokoło tylko niskie lepianki. Ze zgrozą rozglądałam się, by dojrzeć choć coś podobnego do prawdziwego domu. Ludność cywilną rozmieszczono w strasznych uzbeckich lepiankach. Przy pierwszym poborze do wojska kobiet stanęłam na komisję. Sądziliśmy, że będzie lepiej, gdy choć jedna będę ubrana, w moją starą odzież ubierze się siostra. Pozostawiłam matkę i siostrę prawie bez opieki, lecz zanim jednak zdążyłam odejść mama zachorowała na zapalenie płuc. Za ostatnie pieniądze wynalazłam straszną uzbecką norę. Przeniosłam mamę z siostrą i rzeczy, jakie jeszcze były przeniosłam, lecz mamusia ranka już nie doczekała.

Pochowaliśmy ją na cmentarzu nad rzeką. Stary cmentarz uzbecki z popadłymi mogiłami – rzeka wciąż zmywała brzegi. Na takim urwisku w deszczowy dzień zostawiliśmy małą mogiłę bez krzyża nawet, bo tu nie było drzewa. Bez trumny, w stare koce owiniętą. Jak wyrzut skierowany nie wiadomo przeciwko komu poszła za mną myśl, że nawet mogiły mieć nie będzie, bo za dni parę bydło uzbeckie stratuje tu ziemię, woda może podmyje i kości nawet rozniesie. Wraz z nami jakieś dziewczynki chowały ojca. To było zaledwie tydzień po przyjeździe i to był początek straszego żniwa śmierci, jaki tam nastąpił. Dziewczynkę zostawiłam na opiece kobiet i sama poszłam do wojska. W miesiąc po śmierci mamy przyjechał tatuś. Zabrałam go na cmentarz. Powiedział mi tylko: – Och, my tutaj mamy nie zostawimy, zabierzemy ją gdy tylko będzie można. I sam został na cmentarzu w Szachrisabz w parę miesięcy później. Wyjechał tam wtedy zabierając ze sobą siostrę, gdyż mógł dać jej lepsze warunki niż ja. I tak skończyła się moja rola opiekunki. W marcu powiedziano nam, że jedziemy do Persji. Nie chciałyśmy wierzyć. Lecz oto nadszedł dzień wyjazdu. Najpierw do Krasnowodzka, a potem do Pahlevi. W Teheranie odnalazłam brata. Tatusia nie było już, miesiąc przed wyjazdem zmarł. Potem odeślano mnie do Palestyny na kurs, skąd wyniosłam miłe, pierwsze od czasu wojny, wspomnienia.

Kpr. Irena Bereśniewicz, 476 Sekcja Wydawnicza

*

Mieczysław Martusewicz – *Wspomnienie z lat zsyłki na Sybir 1949-1956*

Był dzień 25 marca 1949 roku. O godzinie 5 rano zapukali do drzwi enkawudziści. (NKWD – Narodnyj Komitet Wnutriennych Dieł – Ludowy Komitet Spraw Wewnętrznych) i powiedzieli: „Jesteście aresztowani. Macie 2 godziny na spakowanie rzeczy.” W tym czasie w domu byłem ja i dwóch moich braci. Ja – 9 lat, bracia – 17 i 20 lat, bo rodzice i siostra pojechali o godzinie 3 do powiatowego miasteczka by załatwić tam jakieś sprawy urzędowe. O 7 rano załadowano nas na furmankę i przewieziono do punktu zbornego. Znajdowało się tam już sporo rodzin z małymi dziećmi, aresztowanych i przywiezionych z najbliższych okolic. Byliśmy tam pod gołym niebem pilnowani przez enkawudzistów.

Po południu ciężarówkami zawieziono nas (120 km) do Wilna na dworzec kolejowy. Tam załadowano wszystkich do wagonów towarowych po 8 rodzin. Każdy eszelon składał się z 61 wagonów. W naszym była rodzina sąsiadów: babcia, małżeństwo i 3 małych dzieci – 4-miesięczne, 2 letnie i 4 letnie. Podczas podróży dostawaliśmy raz na dobę chleb, zupę i gorącą wodę – „kpiatok”. Kiedy dojechaliśmy do Uralu było tam 20 stopni mrozu. Wydano nam węgiel, żeby napalić w metalowym piecyku, który był postawiony na środku wagonu. Po 3,5 tygodniach podróży wyładowali nas w mieście Usolie Sybirskoje około 100 km przed Irkuckiem. Zawieziono nas do łagru, gdzie przeprowadzono nam dezynfekcję i dezynsekcję. Z łagru wysyłano ludzi w różne rejony. Po tygodniowym pobycie w łagrze załadowano nas w mieście Czeremchowo na barkę. Płynęliśmy Angarą do miasteczka Kamienka. Z Kamienki rozwożono zesłańców samochodami do różnych miejscowości. Nas i jeszcze 6 rodzin przydzielono do kolchozu i osiedlono w wiosce Greczochon. Zakwaterowano w domu 3 izbowym 3 rodziny, razem 11 osób, w tym 6 osobowa rodzina naszego sąsiada.

Rodzice z siostrą, po powrocie z powiatu do domu, zastali dom splądrowany, a majątek skonfiskowany. Pojechali do najbliższej rodziny i dowiedzieli się co się stało. Rodzice bardzo rozpaczali. Zaczęli się ukrywać, jeżdżąc od rodziny do rodziny. Siostrę wydał sąsiad, który był tajniakiem. Aresztowano ją w kwietniu 1949 roku i razem z dużą grupą połapanej młodzieży zesłano w rejon miasta Bodajbo około 2000 km na północny wschód od Irkucka. Rodziców aresztowano w październiku 1951 roku i zesłano do miasteczka Parabiel nad Obem, prawie 1000 km na północ od Nowosibirska.

Przed osiedleniem zesłańców była prowadzona propaganda, że zostaną osiedleni wrogowie ludu i rodziny bandytów – czyli partyzantki antyradzieckiej. W kolchozie pilnował nas enkawudzista siedząc na koniu i uzbrojony w krótką broń. Kiedy nas wyładowywano z samochodów przyszło popatrzeć kilka osób w starszym wieku. Do enkawudzisty podeszła staruszka i wskazując laską na 5 miesięczne dziecko spytała: *Eto toże bandit*. Enkawudzista, kładąc rękę na pistolecie, krzyknął: *Zamolczy babuszka*. Staruszka odpowiedziała: *Strelaj synok, strelaj*. Enkawudzista kazał miejscowym ludziom rozejść się. Wieczorem ktoś zapukał w okno i uciekł. Pod drzwiami była postawiona butelka mleka, bochenek chleba i pół worka ziemniaków.

Dzieci od 10 roku życia musiały pracować, a po ukończeniu 12 lat podlegały pod kodeks karny łącznie do kary śmierci. Bracia pracowali w kolchozie. Rano dostawali przydział po 0,5 kg chleba, a na obiad zupę. Na temat kolacji powstało powiedzenie: *Użyn nie nužen, obied dorogoj*. (Kolacja jest niepotrzebna, bo obiad cenniejszy). Bracia musieli ze mną podzielić się jedzeniem, bo na mnie nie było przydziału.

Kazano mi zgłosić się do szkoły. Zapisano do 2 klasy. Do końca roku szkolnego był jeden miesiąc, bo tam nauka trwała od września do końca maja. Ze względu na całkowitą nieznajomość języka rosyjskiego pozostawiono mnie w 2 klasie. Musiałem uczyć się i pracować. Każde z dzieci zesłańców miało na lato przydzielony areal uprawny. Ja miałem do plewienia 30 arów ziemniaków i 20 arów prosa. W czasie sianokosów praca przy zwożeniu siana do stogów lub grabieniu od rana do nocy. We wrześniu nauki było mało, bo całe klasy szkolne wyjeżdżały na wykopki ziemniaków lub rwanie lnu.

Najgorszy był pierwszy rok z powodu niedostatku jedzenia. Zesłańcy chodzili na pola po ściętym zbożu i zbierali kłosa. Robić to należało ukradkiem, bo odbierano. Wiosną zbieraliśmy na polu resztki przemarzniętych ziemniaków. W skorupie kartofla był tylko krochmal. Najsurowsza zima była w roku 50/51. W styczniu mrozy dochodziły do 61 stopni. Do szkoły było prawie kilometr. Na mrozie zapierało dech, a ubranie było liche. Dwa razy musiałem wchodzić do jakiegoś domu, żeby się ogrzać. Lato było bardzo gorące ze względu na strefę klimatyczną. Do granicy z Mongolią było około 200 km, tyle samo do jeziora Bajkał.

W 1952 roku wydano zarządzenie pozwalające na łączenie rodzin. W październiku zezwolono nam na wyjazd do rodziców do Parabiela. Mieliśmy do przejechania prawie trzy tysiące kilometrów. Do Tomska dotarliśmy na początku listopada. Rzeka Ob była już zamrznięta. Musieliśmy czekać do wiosny, kiedy ruszy żegluga rzeczna, bo innej drogi nie było. Zawieziono nas do miasteczka Asino. Był to rejon łagrów i specnadzoru. W połowie maja, po czterech latach rozłąki dotarliśmy do rodziców. Radość była ogromna. Rodzice mieszkali w miejscowości Kirzawod (czytaj: kir-zawod, skrót od *kirpicznyj zawod, kirpicz* – cegła) 4 km od Parabiela. Ojciec pracował jako ślusarz w warsztacie przedsiębiorstwa. Jeden z braci dostał przydział do pracy w tartaku, drugi do pracy w cegielni latem, a zimą do wyrębu drewna w tajdze. Ja całe wakacje pracowałem w cegielni lub innych wyznaczonych pracach. Żyło się nam o wiele lepiej niż w kolchozie. Wystarczało na kupno jedzenia i ubrania. Po śmierci Stalina złagodzone represje.

W 1955 roku wyszło zarządzenie zezwalające na wyjazd do Polski. Po rocznym staraniu dostaliśmy odpowiednie dokumenty zezwalające na wyjazd. Do Polski wróciliśmy 28 października 1956 roku. Siostra wróciła w maju 1958 roku. Tylko w 1949 roku w marcu zostało wywiezionych na Sybir 8.765 rodzin w sumie 28.981 ludzi. W tym: mężczyzn – 9.083, kobiet – 11.541, dzieci do lat 15 – 8.357. Do tego potrzeba było 20 pociągów (transportów) towarowych po 61 wagonów każdy. Transporty kierowano do obwodu irkuckiego

W 1948 roku zesłano 11.233 rodziny w sumie 39.482 osoby. W tym: mężczyzn – 12.278, kobiet – 16.559, dzieci do lat 15 – 10.645. Do tego potrzeba było 26 pociągów towarowych po 61 wagonów każdy. Transporty kierowano

do obwodu krasnojarskiego. Podobnie było w 1951 roku. Transporty kierowano do obwodu tomskiego. To są dane z oryginalnych dokumentów NKWD, które posiadam. Dotyczą one tylko Wileńszczyzny, a są jeszcze inne regiony Polski, które zostały włączone do ZSRR, np. województwa: Grodno, Polesie, Wołyń, Lwów, Stanisławów i inne regiony. Ze znanych mi rodzin wywieziono wówczas: rodziny ze strony mamy tj. rodziny Norejko do miejscowości Greczochon na terenie obwodu irkuckiego; rodziny Gukiewiczów, Ibiańskich, Urniażów do Igarki w Krasnojarskim Kraju; rodzinę Apalańskich do miejscowości Sienkino w obwodzie tomskim. Ponadto wywieziono rodziny sąsiadów i znajomych: rodzinę Koczanów do miejscowości Karza w obwodzie tomskim; rodzinę Ancuto i Witkowskich do miejscowości Kirzawod w obwodzie tomskim; rodzinę Kamińskich i Korzeniewskich do miejscowości Parabiel też w obwodzie tomskim oraz rodzinę Żuryńskich do miejscowości Kaczuga w obwodzie irkuckim.

